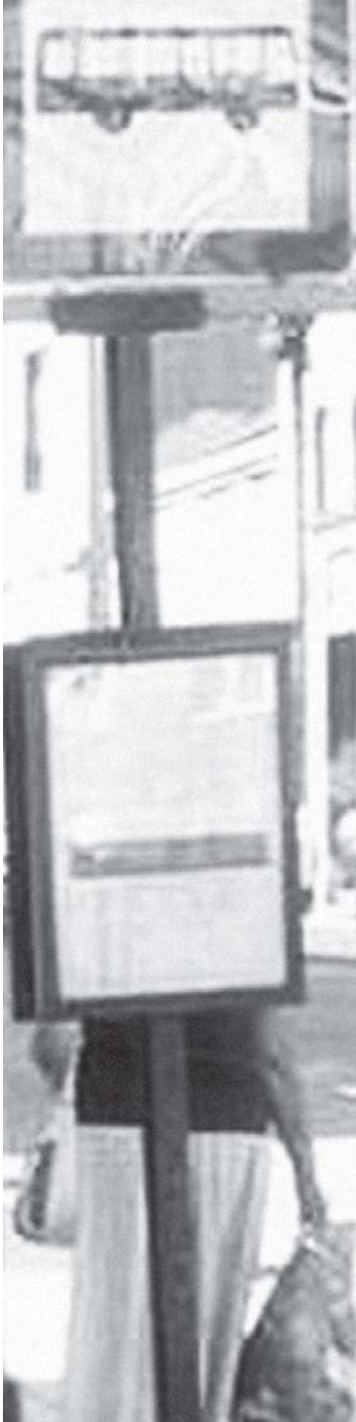


ŁKS
ROBI
HERBATE
Z WODY
PO PIEROGACH

Łódź, peryferia, trochę wierszy

Jerzy Borowczyk, Michał Larek



I

- Pisałeś, że miałbym was oprowadzić po Łodzi, tak? – upewnia się Kacper Bartczak w rozmowie telefonicznej.
- Zgadza się. Znudziło już nas gadanie o literaturze przy stole. Chcemy czegoś bardziej dynamicznego.
- Dobrze. Pokażę wam Bałuty, swoje Bałuty.
- Genialnie.
- Socrealistyczną Łódź.
- Brzmi znakomicie.

II

Auto wyrusza z posesji przy ulicy Janosika.

– Wszystkie ulice w tej części miasta mają jakieś podhalańskie nazwy – Kacper zaczyna nadawanie. – Jesteśmy w najwyższym punkcie Łodzi. Jako chłopak zdobywałem to wzniesienie na rowerze. Przyjeżdżałem z Dołów.

– A te Doły to gdzie są?

– Na Bałutach. Tam teraz jedziemy.

Stoimy na skrzyżowaniu, na czerwonym świetle. Opustoszała okolica, co najwyżej zrujnowane fabryczki w oddali. Rzeczywiście jesteśmy na wzniesieniu. Kilka aut, a nad pałakami sygnalizatorów duży fragment nieba. Lekkie chmury. Potem zjazd w dół, na Doły, i zamiast nieba pomazane ściany bloków (tu króluje RTS, czyli kibice Widzewa) i gęsta sieć drzew. Uliczki meandrują i nagle zamiast wielkiej płyty rzędy szarociemnych kamienic. Każda inna. Dość wyludniona okolica. Za domami ściany żydowskiego cmentarza, a potem wystają z ziemi liche, nadkruszone białe betonowe prostokąty. Kacper mówi, że tak oznaczono granice getta.

+

III

Oglądając zdjęcia, które zrobiliśmy tamtego dnia, można odnieść wrażenie, że nasza wycieczka miała w sobie coś z hipsterskiej imprezy.

Oto poszukiwacze miejskich wrażeń zignorowali centrum i zapuścili się na peryferie, żeby upolować jakieś osobliwe, anachroniczne, znane tylko z filmów dokumentalnych obrazy.

Przeglądamy fotograficzne łupy.

Brudna, pomazana wapnem ściana. Na niej napis: „ŁKS trzyma sztamę z cymbałami”.

Zbliżenie kolejnego budynku, równie starego i sfatygowanego. Przez okno ktoś przerzucił kołdrę i poduszki. Bystre oko dojrzy pod nimi talerz anteny satelitarnej.

Inna ulica, inny róg, inne zbliżenie. Zasadnicza przewaga cegły nad kruszącym tynkiem. Co ciekawe, ściana upakowana została reklamami usług „audio video”. Jakaś pokątna przepychanka między rozbewstwoną przeszłością a kulającą przyszłością?

Za chwilę dostrzegamy szaro-pomarańczowy dom, również bardzo dobrze pamiętający czasy wczesnego PRL-u. Aparat uchwycił fragment, na którym widnieje reklama „Baru azjatyckiego Kinh-Do”. Identyfikację wizualną stanowią trzy butelki coca-coli. Może dobrze, że nie wklejono żadnej fotki serwowanego tu jedzenia?

Jakieś zapuszczone na amen podwórko. W centrum zdjęcia blaszany śmietnik. Coś z nim jest nie tak. Krzywo stoi.

Wylot bramy. „Gdy nigdy nie zginie ptys”.

I znowu ŁKS! Tym razem w górnych partiach ponurego gmaszyska. Wielki napis. Następne zdjęcie? Parter, róg: ŁKS. Dalej, czerwona brama, też ŁKS. I jeszcze ŁKS. Raz po raz ŁKS

– Ten ŁKS jeszcze istnieje?

– I tak, i nie.

– Aha.

– Ma bojowych kibiców. RTS zresztą też. Czasem podobno piorą się na łódzkich ulicach. Kiedyś widziałem taki dokument *Heniu, chodź na Widzew*. O niewidomym kibicu RTS-u i jego kilkuletnim synu, Heniu. Facet bywał na wszystkich meczach swojej drużyny. Także wyjazdowych. Chodził na stadion, gdy nikt nie słyszał jeszcze o audiodeskrypcji. Najmocniejsze były w tym filmie jednak obrazy robotniczo-brudnej Łodzi. Krzaki, blokowiska, zabiedzone stadiony.

– Mnie się ŁKS kojarzy z wczesnym dzieciństwem.

IV

Stoimy na czerwonym świetle. Przed nami ruchliwa arteria, a za nią tak zwany park śledzia, w którym przy betonowym stoliku zasiada czworo starszych facetów – szachiści i ich sekundanci. Bliżej przejście dla pieszych. Na nim młoda dziewczyna z reklamówką i dużym kluczem w dłoni. Wygląda, jakby wracała z okolicznego targu do domu. Idzie wolno, chyba lekko utyka. Bardzo wyraźnie widać ten dziwnie duży klucz w dłoni. Dziewczyna z kluczem, a w aucie atmosfera gęsta od dziecięcych wspomnień Kacpra.

Inne skrzyżowanie. W prawo odchodzi słynna (jak mówi Kacper) Limanka, czyli ulica Limanowskiego, owiana mroczną sławą. Kamienice umazane przez kibiców ŁKS-u, na chodniku dwie starsze kobiety. Jedna w biało-czarnym sweterku, druga w czymś różowym. Witają się cmoknięciami w oba policzki. Wyżej, trochę w prawo, w głąb Limanki, w oknie kamienicy facet rozebrany do połowy, może pali papierosa. Z auta niezbyt dokładnie to widać. Kobiety rozmawiają. Facet siedzi na parapecie i wygląda jak zawiadowca tego zadziornego traktu.

Śródmieście. Wynurzamy się z kolejnej bramy, która wiodła do podwórka zastawionego rzędem drewnianych drzwi do zmurzałych już drewni. Na drewnianych schodach (konstrukcja ma pięterko z galeryjką) doniczki z kwiatami i ziołami. Kacper uważa, że bawiły się tu dzieci. Teraz podwórze jest bezludne. Skracamy z bramy na chodnik i obchodzimy skulonego biedaka. Twarz zabrudzona i zarośnięta długą, rzadką brodą. Jego lewy but rozczapierzony jak ten z filmów z Charliem. Stoi skosem do nas. Pali papierosa.

V

Po hipsterskiej flanerce idziemy coś zjeść. Dzięki temu mamy okazję obejrzeć kompleks pofabryczny o kapitalnej, brzmiącej niemal jak tytuł manifestu, nazwie Off-Piotrkowska. Najpierw sterylna Drukarnia, gdzie zamawiamy hamburgery, które poleca Kacper, a potem Lili, nastrojowa knajpa oklejona wewnątrz gazetami, gdzie zamawiamy kawę. Wśród wyklejek są strony z „New Yorkera”, a na jednej z nich wiersz Elizabeth Bishop *Arrive at Santos*. Dokładnie pod wierszem flakonik i liliowe kwiaty. Nikogo oprócz nas. Gadamy o wierszach i esejach Kacpra.

VI

– W mailu napisałeś, że *Przenicacy*, twój ostatni tomik, mocno cię zmienił. Co to by znaczyło?

– Kilka rzeczy zapewne.

– Na przykład?

+

– Pisząc ten tom, odkrywałem pokłady niezgody i sprzeciwu. Traciłem naiwność życiową. Może to jest książka późnego dorastania, opóźnionego wejścia w dorosłość. To było też uwalniające. Te stany rozerwania...

– Jakże stany?

– Forma tych wierszy, forma, której dla siebie poszukałem w nieco innych rejonach niż zwykle; wytworzone przez nią tony, nastroje, stany emocjonalne nagle mi jakoś przypasowały, znalazły się jako „moje”, a przez to zaczęły wskazywać i konsolidować podobne stany we mnie samym. Tak jakby wiersze do czegoś się we mnie dokopały, pomogły ustalić się i nabrać kształtu pewnym wersjom mojego „ja”. Przede wszystkim były to stany napięcia i bardziej agonistycznego czytania mojej rzeczywistości, stany sprzeciwu, ale też stany zmrożenia pewnymi rozpoznaniem.

– OK.

– Paradoksalnie jednak, mimo sporego ładunku negatywnego, pisanie tych wierszy mnie stabilizowało. Paradoksalnie, bo w wierszach niby wszystko się sypie. Przede wszystkim poczułem się pewniej, po raz pierwszy. Wiedziałem, o co mi w tych wierszach chodzi. Poczułem, że mam coś więcej do powiedzenia niż w poprzednich książkach. Zobaczyłem siebie na tle polskiej rzeczywistości, która zaczęła bardzo irytować. Może to zmiany w systemie nerwowym człowieka?

– Co cię tak zaczęło irytować?

– I nasza polska religijność – taka nieprzemysłana. I nasza prostacka sfera publiczna. I nasza polska poezja, która wydaje mi się zbyt gładka. Zdaje się, że zacząłem odnajdować swoje miejsce wśród tego wszystkiego. Przestałem się też wstydzić swojej „trudności”.

– Swojej „trudności”? Co masz na myśli?

– Wcześniej, ale też później, po wydaniu *Przenicacy*, słyszałem głosy zdziwienia samą formą moich wierszy, trudnościami, jakie ona stawia przed czytelnikiem. Czasami – co bardzo dziwne – już samo wycofanie interpunkcji okazuje się przysparzać niektórym krytykom trudności. Były też narzekania na zbyt duży nacisk na nawyki czytelnicze. Dla mnie tymczasem taki sposób pisania był zawsze naturalny – uważam po prostu, że wiersze dzisiaj, pośród natłoku innych gatunków, form wyrazu, nośników, muszą być najbardziej wyspecjalizowaną formą wypowiedzi językowej. I w *Przenicacy* to już było z mojej strony bardzo świadome działanie, które jednocześnie przynosiło mi mnóstwo przyjemności podczas pisania.

– Zastanawia mnie ta paradoksalność pracy wiersza, o której wspominałeś wcześniej.

– Przy pisaniu tego tomiku skryształizowało mi się też pewne zagadnienie poetyckie. Poezja jako przecięcie dwóch sprzecznych impulsów. Z jednej strony skłonność do rozmontowywania, z drugiej zaś – wewnętrzna siła integrująca. Tak sobie pomyślałem, kiedy czytałem *Makijaż* Jurka Jarniewicza; to była dla mnie ważna lektura.

VII

- Twój ulubiony poetycki fragment Bartczaka?
- Dwie strofy z wiersza *Okluzje imama* (z *Przenicacy*): „Sam ruch w świetle / zdarzenia Czysty raport / Uwaga bez mienia pretensji / Pragmatyka mówienia / nutki i wtedy radość // imienia omamnia / z prawa do niego mienia / i lewa u siebie”.
- Dlaczego akurat ten?
- Słowa się wysypują jakby. Dyktat zdarzenia i swoboda rejestrowania, co tylko się nawinie. Bartczak w tym ostatnim zbiorze daje sobie wolną rękę. Daje sobie spokój z efektownymi, choć i dobrze wykoncypowanymi frazami z wcześniejszych tomów, w których roiło się od zimno wykalkulowanych oksymoronów, paradoksów, gier słownych, potopu znaczeń. Tu jakby chodzi o nasłuchiwanie i zapisywanie siebie eterycznego i zarazem bardzo konkretnego.
- A twój?
- Ostatnio wpadł mi w oko *Supermarket w Santa Monica* z tego samego tomu. I na przykład ten kawałek: „Wokół brodaci starcy deklamują coś po chińsku / z opakowań produktów masowego żywienia / Nic no naprawdę nic // nie rozumiem mówię / do córek głośno / po polsku [...]”. Tu urwę, choć dalej robi się całkiem zabawnie.
- Właśnie ten?
- Taka bezpretensjonalna, sugestywna alegoria naszej zunifikowanej, konsumpcyjnej kultury. ●